DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"

wychodzić będzie co dwa tygodnie.

Do Czytelników!

Od 1. października br. wychodzić będzie stale co dwa tygodnie dodatek literacki dla naszych czytelników. Mając na oku dobro czytelników, chcielibyśmy dać Im miłą rozrywkę na niedzielę, prócz tego pragnęlibyśmy zapoznać Ich choć w drobnej mierze z dziełami literatury ojczystej, których posiadamy tak wiele. Czytelnicy nasi po największej części osiedli od dawna zagranicą, nie mieli może dotąd sposobności, poznać literatury ojczystej, gdyż wydostanie książek polskich za granicą, sprawiało zawsze wielkie trudności nawet i przed wojną, a cóż dopiero teraz, gdy brak papieru podwyższa cenę książki do tego stopnia, że nabycie jej staje się dla zwykłego śmiertelnika wprost niemożliwością. Dlatego też postanowiliśmy, wydając dodatek, choćby w części zaradzić złemu i dać Czytelnikom naszym rozrywkę miłą i pożyteczną. Dodatek ten bowiem oprócz części czysto literackiej i powieściowej będzie zawierał rozmaite opisy wydarzeń z historji Polski i artykuły pouczające z rozmaitych dziedzin wiedzy i historji. Poznanie literatury ojczystej i kraju rodzimego jest obowiązkiem każdego obywatela przywiązanego do swej ziemi rodzimej, a zwłaszcza obowiązkiem tych, którzy mimo, że kraj swój kochają, zmuszeni są żyć na obczyźnie, gdzie nie słyszą swej mowy rodzinnej, ni pieśni ojczystej. Tym więc chcemy pobyt wśród obcych uprzyjemnić, dając im możność poznania choć z daleka swego kraju i swej literatury.

Redakcja.

STEFAN ŻEROMSKI.

„Cokolwiek się zdarzy — niech uderzy we mnie" ..

Sofokles. „Edyp-król".

Na łóżku, oznaczonem liczbą 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezgłowiem łóżka kołatała za każdem poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: caries tuberculosa [1]... Amputowano biedakowi nogę powyżej kolana, wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz, z kartoflarzów pochodził. Miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował, — aż oto, ni z tego, ni z owego, zabolała go noga w kolanie i pootwierały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę do miasta i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tamto jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobieciną swoją w paradnym wasągu z półkoszkami, jak se popłakują oboje ze strachu i żałości — i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem, ugotowanem na twardo — a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu — tylko smutek nieodmienny przez ciąg tylu miesięcy przygniatał mu duszę z taką nieubłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniata mogiłę. Przez tę mgłę pamięta półjasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości — potem operację, jak niosą go na salę, między panów, ubranych w fartuchy, krwią zbroczone — i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierdzia.

Przed operacją, patrząc na szereg zjawisk, budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nić rozmyślań, jakie snuć uczy ta największa na ziemi mistrzyni — wspólna sala w szpitalu. Po operacji wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa, nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć, niby kula kamienna, i szły od kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi ciągnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra chyżo zlatywały w jakiś kącik mózgu, i podczas gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same — nie na sen, lecz na bezwładność, — napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto znikało wszystko i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, napół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobna do wnętrza niezmiernego ostrokręgu, jaki się tuż zaczyna i jak lej bez miary leży na ziemi. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwęża wierzchołek, istnieje biała plamka świetlista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linji spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię leja, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, jak na długość sidła i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpić — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się, podczas gdy się wyrywa mechanicznie ze swej próżni — czas kopania. Cicho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobieciną kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bose nogi, jałowcu suchego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone

[1]) gruźlicze próchnienie kości (łac.).

kartofle. Dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny..

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła gorączka, wpadał w bojaźń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych. Jestestwo chłopa skupiało się pod jej uciskiem w wielkość tak małą, jak ziarnko szaleju, i zlatywało, gnane przez nagłe przesądy, przez jakieś dźwięki przeraźliwe, roztrącając się o gzemsy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nadtem, co przesuwało się przed jego oczyma. Lecz jakże się zmienił rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość, wyrastająca ze wstrętu, — teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość, obejmująca drapieżnym uściskiem zarówno tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okalaczyli Co więcej zrodziło się i trwało, nie ustając w jego sercu, niby skowyczenie, z którem w zapamiętałym pościgu biegły jego myśli, doszukując się tej mocy, co nań wyrok wydała.!

Ten stan nękania samego siebie trwał długo i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga do kości, strzepnął palcami i spojrzał ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie, z tobą! Trzebaby drugą nogę... uważasz także... tego. A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż w chałupie, jeść ci dadzą..

I odszedł w towarzystwieacasystentów. Od drzwi powrócił jeszcze na chwilę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieszczotliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go z nienacka bijakiem cepów ugodzono w ciemię. Zamknął oczy i leżał długo — aż nastała w nim cisza nieznana.

Jest w duszy ludzkiej kryjówk żaczarowana,, na siedm zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepiającego się Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopowina ubogi na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę...

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmierzonego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech ta — szeptał do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się! i mnie ta niezgorzej przecie...

Katedra wawelska.

Dzisiejsza katedra na Wawelu, pomnik budownictwa XIV. wieku, to świątynia narodowa.

Tu od XI. począwszy wieku odbywały się największe ceremonje królewskie i narodowe, — najsolenniejsze nabożeństwa, na jakie nam w latach niewoli „łaskawie" pozwalano, — a dziś w jej murach obchodzi się uroczyście, a swobodnie — wszystkie nasze polskie święta; choć co prawda, że bez tej królewskiej, dawnej wspaniałości jak to miało miejsce kiedyś; — nas na to dziś nie stać.

A kościół wawelski, jako koronacyjny naszych królów, zawierając w swych murach wyraźne, namacalnie ujawnione dokumenty dziejowe — jest pomnikiem świętym, nierozerwalnie związanym z historją naszą całą w jej wszystkich przejawach i odmianach.

Wiedział o tem dobrze komendant austrjacki, który radził swojej wyższej władzy w początku XIX wieku, aby katedrę zamknąć dla ogółu, aby zamienić ją na kościół garnizonowy wyłącznie dla wojska najezdniczego, „bo wtedy, jak pisał z Krakowa do Wiednia, Polacy łatwiej zapomną o swoich przodkach."

Mylił się: przez łachmany sierocego stroju przezierała nasza królewska moc ducha narodowego, niezłomna, nieugięta i niepowalona.

W ciągu całego strasznego wieku niewoli, aż po dzień dzisiejszy nic nie było w stanie wyrwać z serca naszego uczuć i myśli polskiej, które nigdy nie przestaną bić w stronę Wawelu.

Naród wierzy, że popłynie stamtąd po całym obszarze odrodzonej Polski coś, — coś, co będzie powtórzeniem, a może rozszerzeniem wielkiej, dawnej kultury, ze złotego wieku; wierzy, że stamtąd wytrysną promienie nowych cnót ze światła: bohaterstwa, ofiarności; uczyć patrjotycznych, miłości wzajemnej, spójni najszerszej i zgody — i że one rozpalą najbardziej dziś zimne, obojętne, oporne dusze.

Aby tak jednak było, trzeba tego chcieć.

Na Wawelu nie idzie o samą tylko fachową, artystyczną odbudowę gmachów, — nie — na Wawelu ma odbudować się wielka idea, wielkie, najdoskonalsze cnoty muszą się odrodzić i nowe urodzić.

I dlatego Naród ma nie tylko prawo, ale i obowiązek pytać: kto tam jest i co robi w tej jego Świątyni Narodowej.

Za Zygmunta I Bonerowie, dzięki doskonałemu w Państwie gospodarowaniu ułatwili zbudowanie przewspaniałego gmachu zamkowego, na chwałę, Narodu, na postawienie kaplicy Jagiellonów „na wieczne dla nich mieszkanie" — ten cud sztuki, sławny na świat cały.

Dziś Naród ma być tym Bonerem, ma ułatwić odbudowę murów.

Wawel widział i zna wszystko z czasu wieków minionych, a dziś Naród może żądać, aby Wawel był dlań skarbnicą, umacniającą cnoty polskie.

W katedrze krakowskiej osoby królewskie jakby wstają ze swych pomników — do czynu: Jagiellony, Batory... i h brwi mówią o ich mocy, — szeroko patrzą otwarte oczy: Kazimierza Wielkiego, Jana Albrechta, Kazimierza Jagiellończyka.

Artyści, którzy ich podobizny dla tych pomników z nich samych, z natury przygotowywali, wyrazili znakomicie w twarzach królewskich, całą ich świadomość, czem są i czem mają pozostać dla Polski — po wieczne czasy.

Coś nas prowadzi do podziemia katedry, czujemy potrzebę złożenia hołdu.

Tu, w krypcie św. Leonarda, śni się wszystko od początku; cały kalejdoskop wielkich przeżyć, jako paciorki przesuwanego różańca snują się po głowie.

Stajemy przed trumnami królów i bohaterów; stajemy nie przed ich zwłokami, lecz przed obliczem ich czynów — tych wielkich — a po odrzuceniu ułomności, które są w charakterze ludzi i u wszystkich spotykają się narodów — my, dziś swobodni Po-

lacy, my synowie Zmartwychwstałej Polski — przyszliśmy tu, by złożyć im hołd. W wieku XX-ym:

„Na Wawelu ożył tum,
z trumien wątały króle — Duchy,
zbrobi chrzęst i skrzydeł szum,
dobre wieści, dobre słuchy,
kres i koniec zawieruchy,
przez zwątpienie, ból i jęk,
łańcuch hańby sczezł i pękł,
polskie czasy, polski cud.
ma być znowu, jako wprzód“.[1])

Więc — „Baczność“ Narodzie!

Stoisz przed zwłokami ks. Józefa Poniatowskiego, który wziął na się obronę twojego polskiego honoru, — dotkniętego straszną hańbą, co, w poniżeniu dławiącem krtań, gniotącem piersi, wyciskającem strumienie łez na samą myśl o tem, — nie dawało spokoju naszym ojcom przez cały wiek niedoli — rwącym się ciągle do zmycia hańby, — do broni w imię wolności.

Tu obok — tego porywu: i wzór i symbol — Kościuszko tu spoczywa...

Prezentuj, Narodzie swój czyn, swoją duszę!...
Jak w śnie staje przed nami obraz dawny:
„... wysunął się Kościuszko
na przodek szeregu,
i zawołał! — wiara bracia,
a najpierwej wy wieśniacy,
polski ludu rolny,
wiara bracia przez Bóg żywy,
kto Polak prawdziwy,
niechże będzie już nie mściwy,
ale sprawiedliwy.
Puszczać kosy na te chwasty,
co nam pola głuszą,
kochać Polskę nie połową,
ale całą duszą“.[1])

Kościuszko należał do tych wodzów polskich, w których wcielał się kolejno wojskowy genjusz narodu.

Spoczął on w katedrze krakowskiej obok Jana Sobieskiego, za którego, chylące się ku zachodowi słońce polskiej wojennej chwały — po raz ostatni, za królewskich czasów, zajaśniało wspaniałym blaskiem, oślniewając cały świat.

Przy nim leży żona jego Marja Kazimiera.

Gdy Jan III pod Wiedeń odjeżdżał, spostrzegł, iż żona jego trzymając synka małego na ręku płacze; na zapytanie o przyczynę, odpowiedziała: „bolesno mi jest, że to dziecię jeszcze nie jest w stanie razem z tobą dobijać się zwycięskich laurów“.

W następnem podziemiu Batory, Wielki wojownik i strategi, król rycerz, obrońca kresów, co dumnie rzucił rękawicę Iwanowi Groźnemu, carowi Rosji — nie dla zdobyczy, ale dla odebrania co polskie.

Z podziemia Wazów, gdzie spoczywa Zygmunt III, król, który nie uznawał triumfalnych po zwycięstwach obchodów, utrzymując, że „praca około zdrowia Rzeczypospolitej jest dostateczną nagrodą“, wiedzie przejście do następnego podziemia z trumnami: Barbary Zapolskiej, ukochanej żony Zygmunta I, — Zygmunta Augusta, co niezłomność przysięgi stawiał wyżej, niż wszystkie na świecie królestwa; — tu Anna Jagiellonka, — przypomina się, jej ofiara: ślubowała Batoremu, jak Jadwiga Jagielle — bo tak Naród kazał...

[1]) Remigjusz Kwiatkowski.

A po środku grobowiec nieszczęśliwego Jana Kazimierza. Gdy cały szereg wielkich nieszczęść spadł na kraj, Radziejowski kardynał zafrasowanemu królowi perswadował temi słowy: „Miłościwy Panie, na świecie jako w łaźni, im kto wyżej siedzi — tym bardziej się poci“.
A. B.

Ku chacie.

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została
Gdzie mój stary próg!

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,
Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze
Z tych dalekich dróg!

Obejdź lądy, opłyń wody,
Nie odtęsknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom przesłania,
Stary, pszczelny ul!

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól!...

W marmurowych chodzisz grodach,
Utęskniony po tych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką
Strugą modrą i daleką
Het. przez łężny szlak...

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać na przemiany,
Co tam, gdzie i jak...

Marja Konopnicka.

Myśli.

Po całym świecie możesz
szukać Polski ... i
nigdzie jej nie znajdziecie.
... A jest jedna mała klatka ...
— Serce!
A to Polska właśnie.

Wyspiański („Wesele“).

* * *

Szczęście każdy ma przed nosem
a jak ma, to trzeba brać —
trzeba iść za serdecznym głosem
i nie pozwolić się kpać.

Wyspiański („Wyzwolenie“).

Czy, na innych planetach są istoty żywe.

Planeta Mars wysyła do nas znaki. Sensacyjne oświadczenie Markoniego.

Pan J. Macbeth, zarządca londyńskiej stacji radjotelegraficznej Marconiego, oświadczył, będąc w Ameryce, iż sam Marconi jest głęboko przekonany, iż planeta Mars wysyła do naszej Ziemi jakieś tajemnicze znaki

Ten fakt świadczyłby o tem, że, oprócz ziemi, na Marsie także istnieje życie. Gdyby to sensacyjne oświadczenie Marconiego miało się sprawdzić i na Marsie istniały istoty, obdarzone rozumem, to tylko pozostaje kwestja czasu, aby jakiś genjusz ludzki wynalazł specjalne znaki za pomocą których mieszkańcy ziemskiej planety mogliby porozumiewać się z mieszkańcami Marsa. Marconi bowiem oświadczył, że udało mu się pochwycić kilka tajemniczych znaków, pochodzących z owej planety. Wywołało to liczne komentarze uczonych zarówno w Europie, jak i w Nowym Świecie. Wielu uczonych starało się rozwiązać zagadkę bytu na Marsie, lecz, jak dotąd, bez żadnego wyniku.

Powodem, który posłużył Marconiemu do tego oświadczenia, jest fakt, że na stacjach telegrafu bez drutu otrzymywano od czasu do czasu pewne znaki. Znaki te nie mogły pochodzić z zaburzeń atmosferycznych. Aparaty były bowiem bardzo mocne i odporne na wszelkie tego rodzaju zaburzenia. Zaś owe tajemnicze znaki notowane były dziesięć razy silniej w aparatach, niż zaburzenia atmosferyczne mogłyby wywołać. Z tego też Marconi wysnuwa swoją teorję, że na Marsie istnieje życie, zaś „Marsjanie" za wszelką cenę chcieliby się z nami porozumieć.

Narazie w tę teorję wierzy tylko sam Marconi i J. Macbeth. Jeśli to tak jest, to życie na Marsie jest lepiej rozwinięte, aniżeli na naszej planecie. Mars bowiem jest o kilkaset miljonów lat starszy od naszej żywicielki i tamtejsze istoty przebyły już dawno te okresy, które my przeżywamy. Byłoby ciekawem dowiedzieć się, czy mieszkańcy Marsa przeżywali rewolucję, własność prywatną i czy formy życia społecznego u nich i u nas byłyby w czemkolwiek podobne.

Możnaby się dowiedzieć wielce ciekawych spraw...

Najważniejszą zagadką, oczywiście, byłoby, czy na Marsie istnieją jeszcze kobiety i czy tak samo, jak u nas, ubierają się, flirtują, grają na fortepianie i noszą wysokie obcasy, oraz czy istnieją tam magazyny mód. Wszystko jednak zależy od tego, czy uczonym uda się wynaleźć specjalny język, zrozumiały dla tajemniczych mieszkańców Marsa. Nie jest jednakże wykluczonem i to, że wogóle cała ta teorja jest mylną. Bowiem mylić się jest rzeczą zupełnie ludzką. (a. a.)

Korsarze morscy w wieku XX.

Opinja publiczna w Ameryce od pół roku jest poważnie zaniepokojona. Taksamo władze rządowe biedzą się nad rozwiązaniem tajemniczej zagadki zaginionych okrętów.

Zaszły bowiem niezrozumiale wypadki zaginięcia okrętów. W ciągu ostatniego półrocza z portów amerykańskich wypłynęło koło dwudziestu większych i mniejszych okrętów, które do tychczas nie wróciły i o których zaginęła wieść. Poszukiwania przedsiębrane przez całe eskadry okrętowe amerykańskie jak również zapytania radjotelegraficzne nie dały żadnego wyniku. Widziano wprawdzie parę okrętów na morzu, lecz te zawsze ulatniały się w niewiadomym kierunku na widok zbliżającej się eskadry. Najpierw sądzono, że okręty owe zostały uprowadzone z morza przez bolszewików, i zaprowadzone do portów rosyjskich. Tam miały być one przemalowane, poczem włączone w skład floty handlowej rosyjskiej. Co do załogi, to oficerowie mieli być przez zbolszewizowanych marynarzy angielskich wymordowani. Uznano bowiem że marynarze amerykańscy mają skłonności bolszewickie.

Wśród społeczeństwa amerykańskiego powstało oburzenie na Rosję za te kradzieże. Aliści później przekonano się że to podejrzenie jest bezpodstawne. Zauważono bowiem parokrotnie, że zaginione okręty bynajmiej nie zostały przemalowane, lecz tu i tam, w różnych szerokościach oceanu pływają. Powstało zatem podejrzenie, iż wszystkie te okręty padły ofiarą napadów korsarskich, ich załogi zostały w pień wymordowane, a statki przywłaszczone przez zbójców morskich.

Poczciwych marynarzy, którzy padli ofiarą swoich obowiązków, opłakiwano i żałowano. Jedynie właściciele tych zaginionych okrętów zachowywali tajemnicze milczenie i dziwną obojętność. Zaginione statki przestały ich martwić i snać pogodzili się z losem bankrutów. Aliści cała ta bajka o bolszewikach, korsarzach itp. znajdzie wkrótce wytłumaczenie.

Tajemnica okrętów, które tu i owdzie widziano krażące zagadkowo koło wybrzeży Atlantyku wyjdzie na jaw dzięki wykryciu t. zw. „blockade runners", które wyładowywały drogą kontrabandy całe pokłady napojów alkoholowych na wybrzeżach New Jersey. Do takiego bowiem przekonania doszli agenci akciźni i prohibicyjni. Jako dowód przytaczają oni znalezioną wódkę wartości 20 000 dolarów, która została wyładowana ua brzegu do jaskini skalnej z rzekomego „okrętu tajemniczego".

Urzędnicy prohibicyjni, spełniający prawo Volstaeda są pewni, że dokonywane na olbrzymią skalę przemytnictwo napojów wyskokowych odbywa się za pomocą tych słynnych okrętów zaginionych.

Okręty te nocą przypływają do brzegów i małymi łodziami wywożą na ląd z ukycia zakazany trunek. Bardzo dziwnem jest zachowanie się właścicieli okrętów.

(a. a.)

Humor i satyra.

Wytłomaczyli.

— Co wy robicie, gałgany?

— Zrywamy jabłka.

— Dlaczego wy je zrywacie?

— Dla czego my je zrywamy? Bo one same nie chcą spaść.

Złośliwość.

Pani Skąpska oddala służącą. Po rozliczeniu się i wypłacie Kasia z otrzymanych pieniędzy rzuca dolara psu . . .

— Co to ma znaczyć? — pyta pani.

— Biedna psina zasłużyła sobie na tą skromną zapłatę.

— Jakto? Dlaczego? Nie rozumiem?

— Dlaczego się pani irytuje, pies zasłużył sobie na to honorarjum bo przez trzy miesiące zaoszczędził mi dużo pracy. On mi przez cały czas wylizywał tak czysto całe kuchenne naczynie, że nie potrzebowałam już myć.